

Rozdział piętnasty

Vingt... vingt-et-un... dwadzieścia dwa. – Szczupła, szarooka Joanna d’Arc ześlizgnęła się po trawiastym zboczu i dołączyła do swej towarzyszki nad strumieniem. – Jak byś określiła grupę dwudziestu dwóch tygrysów szablozębnych? – spytała bez tchu. – Stado? Kohorta? Wataha?

– Ich drugie imię to kłopoty – krótko rzuciła Scathach. Wyprostowała się i uniosła głowę, spoglądając na wzgórze. – A ty mi zaraz powiesz, że idą w naszą stronę.

– Idą w naszą stronę – powtórzyła z uśmiechem Joanna.

Scathach tupnęła nogą. Trafiała na duży ślad w mule.

– To ich wodopój. – Przymknąwszy oczy, zaczęła węszyć, po czym wskazała mieczem na południe. – Zbliżają się i z tamtej strony.

– Od wschodu też – dodała Joanna.

Scatty otworzyła oczy i spojrzała na przyjaciółkę. W zachodzącym słońcu karnacja Joanny wydawała się złocista.

– Skąd wiesz?

Franczka obróciła rudowłosą wojowniczkę za ramię. Trzy ogromne bestie wychylały głowy znad wysokich traw. Stały nieruchomo z otwartymi paszczami, nie mrugały nawet szeroko rozwartymi oczami, tylko koniuszki ogonów lekko im drgały.

– Walczymy czy uciekamy?

– Jeśli zaczniemy biec, dogonią nas – rzeczowo zauważyła Scatty. – A jeśli zaczniemy walczyć, pokonają nas. Za dużo ich jest. Co najmniej trzydzieści.

Największy z szablozębnych tygrysów powoli, z wahaniem zrobił krok naprzód. Jego wielkie złociste ślepia z czarną kreską źrenicy utkwione były w Scathach.

– Spodobałaś mu się – mruknęła Joanna. Dotknęła rękojeści miecza przytroczonego na plecach, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jeśli bestie zaatakują jednocześnie, jej broń okaże się bezużyteczna.

– Zawsze wołałam psy – powiedziała Scathach, uważnie obserwując zwierzę. – Z nimi przynajmniej wiadomo co i jak. – Schowała miecze i wyjęła zza pasa nunczaku. – Stój tam – zakomenderowała i zanim Joanna zdążyła odpowiedzieć, rzuciła się na tygrysa.

Zwierzę zamarło.

Wojowniczka biegła ze świszczącą bronią nad głową. Dzielilo ją od tygrysa ledwie kilka metrów, gdy drapieznik zaczął tłuc o ziemię ogonem, sprężył się do skoku i tocząc ślinę z pyska, wystrzelił przed siebie z groźnie wystawionymi pazurami.

– Scatty – zduszonym głosem jęknęła Joanna, gdy rudowłosa wojowniczka wybiła się w powietrze, jakby skakała do wody – znalazła się nad grzbietem bestii i z całą siłą walnęła twardą pałką na łańcuchu wprost w ogromną czaszkę. Jeszcze jeden obrót w powietrzu i Scatty zgrabnie wylądowała. Tygrys, zaskoczony atakiem, padł na ziemię jak worek kości. Zdołał się pozbierać i stanąć na drżących nogach, po czym upadł znowu.

Scatty obróciła się ku jego współplemieńcom, stukając pałką nunczaku o rozwartą dłoń. Tygrysy popatrzyły na nią i swego powalonego towarzysza, po czym wycofały się i zniknęły w wysokiej trawie. Gdy Joanna dobiegła na miejsce, już ich nie było.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała.

– Trzeba było im pokazać, kto tu rządzi – odparła Scatty i uklękła przy wielkim cielsku.

Przejechała ręką po rannej głowie tygrysa i uniosła mu powiekę. Bestia warknęła, ale się nie poruszyła.

Joanna przykucnęła obok, wpatrzona w tygrysie zęby. Były długie jak jej ręka, miały stożkowate trzony, zdolne zapewne przebić zbroję.

– Cały dowcip polega na tym – ciągnęła Scatty – żeby uderzyć dokładnie tam, gdzie czaszka łączy się z kręgosłupem. To go ogłuszyło.

– A gdybyś chybiła?

– Wtedy by się wściekł. – Scatty pokazała w uśmiechu własne wampirze kły. – Ale ja nie chybiam. – Poklepała drapieżnika. – Biedak obudzi się z migreną.

Joanna wyprostowała się i dotknęła ramienia przyjaciółki.

– Co jest? – Scatty odwróciła głowę.

Joanna wskazała na wzgórze. Ustawiły się na nim dwadzieścia dwa szablozębne tygrysy.

Dołączyły do nich dwa kolejne, a potem jeszcze cztery. Wszystkie wyglądały na wyrosnięte, dorosłe osobniki, a ich pomruki były tak donośne, że ziemia drżała.

– Jak myślisz, czy ten nasz był przodownikiem stada?

Zwierzęta rozdzieliły się, a pośrodku ukazała się sylwetka największego z nich – tygrysa o masywnym karku, górującego nad pozostałymi o głowę. Jego ciemne futro porane było zabliźnionymi białawymi ranami, jeden z dolnych zębów był ułamany w połowie i poszarpany, zaś oko pokrywało bielmo.

– Ten jest przodownikiem stada – wyszeptała Scatty i się cofnęła.

Jedynе zdrowe oko stworzenia przenosiło się od powalonego tygrysa do Scatty i z powrotem.

A potem drapieżnik otworzył paszczę i zawarczał. Dźwięk był niesamowity i przenikający do kości, tak że okoliczne ptactwo poderwało się do lotu. A potem tygrys z wolna, niemal z wdziękiem, zaczął schodzić ze wzgórza.

Scatty chciała wyjść mu naprzeciw, ale Joanna złapała ją za ramię.

– Pamiętasz, czego mnie nauczyłaś, kiedy się biłam z Anglikami?

Scatty zamrugała tylko oczami.

– Powiedziałaś, że błędem jest walczyć z pokrytymi bliznami wojownikami, bo to oni zwykle zwyciężają. – Drobną Francuzką kiwnęła głową w stronę zbliżającej się bestii. – Popatrz tylko na tego stwora. Zwyciężył w wielu bitwach.

Scathach spojrzała na ogromnego szablozębnego tygrysa o poranych bokach.

– Jestem Cieniem. Zwycięzę go.

Palce Joanny mocniej zacisnęły się na ramieniu przyjaciółki.

– Powiedziałaś mi też, żeby przystępować do bitwy jedynie w ostateczności. Nie musisz w to wchodzić.

– Zapewne masz rację – z westchnieniem przyznała Scatty. – To co robimy?

– Wujemy!

Rozdział szesnasty

Niccolò Machiavelli głęboko wciągnął słone morskie powietrze i przycisnął dłonie do bolącego brzucha. Zanim został nieśmiertelnym, miał kłopoty z wrzodami żołądka i choć jego pan wyleczył go ze wszelkich ludzkich chorób, ta przypadłość wciąż wracała. Gdy teraz stał na brzegu Alcatraz, wpatrzony w San Francisco, wnętrzności paliły go żywym ogniem.

– Wszystko skończy się dobrze, musi być dobrze – po raz dziesiąty powtórzył młody człowiek w zaplamionych dżinsach i zdartych kowbojkach. – Wyjdziemy z tego.

– Słuchaj, Williamie – powiedział wolno Machiavelli, celowo zniżając głos. – Jak długo jesteś nieśmiertelny?

– Sto dwadzieścia sześć lat – oświadczył z dumą Billy Kid.

– A ja od roku 1527 – powiedział Włoch, spoglądając na Amerykanina. – Żyłem na świecie, kiedy Kolumb odkrywał ten kraj. Nie jestem najbardziej leciwy z nieśmiertelnych, choć starszy od Dee, ale Alchemik Flamel przewyższa mnie wiekiem, starszy od niego jest Duns Szkot, a od niego Mistrz Mo. Najstarszy z nas wszystkich jest Gilgamesz. Ale to ja miałem najwięcej osobistych kontaktów ze Starszą Rasą i muszę ci powiedzieć, że nasi Przedwieczni Mistrzowie nie tolerują porażek. Żądają absolutnego posłuszeństwa i skuteczności. A myśmy nawalili. – Wyciągnął zaciśniętą w pięść dłoń i odgiął mały palec. – Po pierwsze, wysłano nas tu, byśmy zabili

Czarodziejkę. – Drugi palec. – I wypuścili bestie z lochów na miasto. – Kolejny palec. – Perenelle uciekła w naszej łodzi. – Czwarty palec. – Pozostawiła nas tu w pułapce, w otoczeniu tych monstrów. Zawiedliśmy na całej linii. Nie oczekiwałbym przebaczenia.

Głowy mężczyzn obróciły się na dźwięk zbliżającego się motoru. Machiavelli przysłonił oczy i zobaczył łódź ciągnącą za sobą smugi białej piany. Billy wyciągnął telefon komórkowy.

– Wezwałem pomoc – rzekł przeproszającym tonem. – Jak myślisz, co z nami będzie?

– Zostaniemy osądzeni i skazani – odparł z westchnieniem Machiavelli. – Starsi Mistrzowie odbiorą nam nieśmiertelność. Umrzemy. Im szybciej, tym lepiej, ale Mroczny Klan potrafi być okrutny...

– Nie podoba mi się to. – Billy zadrżał. – Dopiero się zaczynałem przyzwyczajać do nieśmiertelności. – Potrząsnął głową. – Mój pan jest... – Zawahał się, szukając właściwego określenia. – Jest inny niż tamci. Potrafię mu się wytłumaczyć. – Machnął ręką w kierunku więziennych budynków. – Wszystko będzie dobrze.

– Przestań, proszę, wciąż to powtarzać.

Jaskrawoczerwony ślizgacz wpłynął do przystani. Sternik, uderzająco przystojny, wysoki Indianin o mahoniowej skórze i ostrych rysach, powitał Billy'ego uśmiechem.

– Nasi panowie chcą cię zobaczyć. I ciebie też – dodał, patrząc na Machiavellego. – Macie kłopoty, chłopaki.

Rozdział siedemnasty

Wilkołaki otaczały Dee.

Zebrały się ich na Covent Garden całe gromady, a kolejne podchodziły po dachach okalających plac domów. Wycie bestii wciąż odbijało się echem po mieście. Wygolony lider rozpostarł ramiona, demonstrując czarne tatuaże.

– No i co teraz, doktorku?

Dee sięgnął pod płaszcz i dotknął rękojeści kamiennego miecza ukrytego pod pachą. Sam zrobił dla niego uchwyt z dwóch skórzanych pasów. Nie wiedział, co będzie, jeśli teraz użyje broni. Był w posiadaniu Excalibura od stuleci, a miał jedynie mętne pojęcie o jego prawdziwej mocy. Krótkie doświadczenia doktora z Clarentem dowodziły, że jest nawet potężniejszy od bliźniaczego miecza. A teraz, gdy zlały się w jedno, ich moc mogła zostać podwojona... bądź zniwelowana.

Mag szybko rozważył te dwie ewentualności. Jeśli użyje miecza, rozogni się niebo nad całym Londynem i przyległymi Krainami Cieni. Ale jeśli go nie użyje, wilkołaki pojną go z pewnością i postawią przed obliczem Mrocznych Starszych. A tego za wszelką cenę chciał uniknąć. Nie dożył nawet pięciuset lat, więc był zdecydowanie zbyt młody, by umierać.

– Podejdz tu grzecznie, doktorze – powiedział cucubuth w starodawnym języku Wenedów, występującym w Europie Wschodniej.

Dłoń Dee zacisnęła się na rękojeści miecza. Była tak zimna, że drętwiały mu palce, a jednocześnie w głowie, na progu podświadomości, zaczęły formować się dziwne strzępy informacji.

Wilkołaki z rasy cucubuth w skórzanych zbrojach... wampiry w kolczugach i zbrojach z metalu... wdzierają się na brzeg z wąskich stalowych czólen, walczą na plaży, pokonując owłosione, jednookie bestie...

Dźwięk, który rozszedł się wśród nocnej ciszy, był tak wysoki, iż niemal niesłyszalny dla ludzkiego ucha – pojedynczy, smutny, drgający ton.

Wilkołaki zaczęły padać na ziemię jak ugodzone. Te najbliżej Dee runęły pierwsze, a potem, jak kostki domina, dalsze ich szeregi. Zatykały rękami uszy, wijąc się w agonii.

Z cienia wychynęła Virginia Dare z fletem przy ustach i uśmiechnęła się do Maga.

– Jestem twoim dłużnikiem. – Doktor skłonił się dwornie w staroświeckim geście, używanym w otoczeniu Elżbiety I. Virginia nabrała tchu.

– Uznaj to za rewanż za ocalenie mi życia w Bostonie.

Gdy jeden z wilkołaków sięgnął do kostki Dee, ten kopnął jego rękę.

– Powinniśmy stąd iść – powiedział. Inne bestie już zaczęły dźwigać się z ziemi, ale wystarczyła jedna nuta fletu Virginii, by je ponownie unieszkodliwić.

Przechodząc lekkim krokiem nad miotającymi się wilkołakami, Dare i Dee opuścili Covent Garden. Dee przystanął na początku King Street i się obejrzał. Brukowany plac zaścielały powykęcane, usiłujące się podnieść ciała. Niektóre z monstrów stopniowo traciły ludzki wygląd – ich twarze zmieniały się w pyski, a ręce w łapy.

– Sprytna sztuczka – pochwalił Dee, dogoniwszy Virginie. Szła ulicą, wciąż grając na flecie.

– Jak długo potrwa zaklęcie? – spytał.

– Niedługo. Im inteligentniejszy osobnik, tym dłużej działa, ale prymitywne bestie dochodzą do siebie po dziesięciu, dwudziestu minutach.

Ulicę zalegały ciała wilkołaków, miotające się w spazmach bólu, z rękami przy uszach. Dwa, z impetem zdolnym kruszyć płyty chodnikowe, spadły z dachu tuż przed Dee i Dare. Virginia, nie zwalniając kroku, przeszła nad ciałami. Dee wyminął je, świadom tego, że zwykły upadek nie zrani stworów, może je najwyżej spowolnić.

– Nauczyłam się tej melodii w Niemczech – powiedziała, łapiąc oddech. – Od pewnego szczurołapa.

– Co cię skłoniło, by mi pomóc? – zaciekawiał się Dee.

– Obiecywałeś mi cały świat – z powagą odparła Virginia Dare. – I radzę ci dotrzymać obietnicy. Nauczyłam się od szczurołapa jeszcze innych melodii i wierz mi, że wołałbyś ich nigdy nie usłyszeć.

Mag zaśmiał się nieszczerze.

– Cóż, to brzmi jak pogróżka...

– Bo nią jest – przytaknęła z uśmiechem. – To nawet coś więcej niż groźba. To obietnica.